

WON-PYUNG SOHN 손원평

Powieść autorki bestsellera *Almond*

T U B E

Opowieść o pewnym życiu

튜브

Z koreańskiego przełożyła Dominika Chybowska-Jang



WON-PYUNG SOHN

T U

Opowieść o pewnym życiu

B E

PRZEŁOŻYŁA Z KOREAŃSKIEGO
Dominika Chybowska-Jang



TYTUŁ ORYGINAŁU:

튜브/Tube

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Adrian Kyć

Korekta: Małgorzata Denys

Projekt okładki: Florian Rychlik

Ilustracje na okładce: © Jorm Sangsorn, © cphoto/Adobe Stock

DTP: Maciej Grycz

튜브

Tube

Copyright © 2022 by 손원평 (Sohn Won-pyung)

Originally published by Changbi Publishers, Inc.

All rights reserved. No part of this book may be used or reproduced
in any manner whatever without written permission except in the case of brief
quotations embodied in critical articles or reviews.

Polish Translation Copyright © 2024 by Grupa Wydawnictwo Kobiecte

Polish edition is published by arrangement Changbi Publishers, Inc.

through BC Agency, Seoul

Copyright © for the Polish translation by Dominika Chybowska-Jang, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2024

ISBN 978-83-8371-367-0

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl



SPIS TREŚCI

Prolog: Upadek • 7

Część I: Back to the Basic • 9

Część II: Szuflada duszy • 79

Część III: Projekt Gałązka • 169

Część IV: Uścisk dłoni • 233

Epilog: Pewne życie • 259

Od autorki • 263

1

W ydarzyło się to dokładnie dwa lata i pięć dni temu. Kim Seong-gon Andrea stał wówczas w tym samym miejscu co teraz – na jednym z mostów nad przecinającą Seul na pół rzeką Han, ziemią świętą samobójców. Wspiął się na drewniane skrzynki pozostawione przez ekipę filmową, która niedawno zakończyła zdjęcia, i wychylił głowę przez otwór w siatce nad barierkami zamontowanej po to, by powstrzymać ludzi przed targnięciem się na życie. Nawet nie drgnął, wpatrując się w wodę. Jej czarna, chłodna tafla falowała, choć chwilami można było dostrzec, jak mieni się w świetle padającym z ulicznych latarni.

Przypominała życie. Ono również miewało jaśniejsze, pełne blasku momenty, lecz w gruncie rzeczy można je było porównać do ciemnego, zimnego i bezdennego bagna. Dlatego rzeka, na którą właśnie spoglądał, była idealnym miejscem, by pożegnać się ze światem.

Egzystencja Seong-gona pełna była chaosu. Gdyby ofiarowane mu przez los życie było kawałkiem białej tkaniny, po

niemal pięciu przewrotnych dekadach do niczego by się ona nie nadawała. Przypominałaby materiał pełen niezgrabnych gryzmołów powstałych niespodziewanie na skutek nieprzeżyłych prób na końcu prostego wzoru, równie nudnego jak u innych. Potwornie wygnieciony i upstrzony śladami nieudolnego, bezcelowego szycia, które miało jakoś to wszystko naprawić, by ostatecznie zostać pociętym, podziurawionym i rozerwanym na strzępy. Tkanina przemieniłaby się tym samym w coś, co nie zasługuje już dłużej na miano płótna pod obraz ani kawałka wartościowego materiału – niczym zużyta szmata, której widok sprawia, że słowa: „Co to za śmieć? Weź ją wywal” aż same cisną się na usta.

Cokolwiek by zrobił, nie dało się usunąć skaz, wygładzić zmarszczek na materiale ani sprawić, by ponownie nadawał się do użycia. Nieważne, jak długo się nad tym zastanawiał – jeśli tak miało wyglądać jego życie, lepiej było je zakończyć. Patrzył na to wszystko z perspektywy kogoś, kto postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Skoro nie było już odwrotu, nie pozostawało nic więcej, jak odpuścić. Właśnie to było bowiem w jego oczach jedyną słuszną decyzją.

Mimo to ogarnęło go przygnębienie. W którym momencie jego życie zaczęło się robić tak pogmatwane? On też przecież musiał mieć kiedyś czystą kartę. Przemykająca przez jego myśli „czystość” sprawiła, że przed oczami stanęła mu matka. Serce mężczyzny w jednej chwili zamarło. Była dla niego symbolem wiary i wyrozumiałości, ale na kilka lat przed śmiercią jej twarz spowijał głównie ponury wyraz zmartwienia. Czuł się nim przytłoczony, przez co nieraz potraktował ją wyrocznie,

choć wcale nie miał takiego zamiaru. Kobieta odeszła z tego świata, osierocając czterdziestosiedmioletniego syna.

Kim Seong-gon westchnął spazmatycznie, starając się powstrzymać łzy. No tak, mama umarła. Mimo to zapragnął ujrzeć spojrzenie tej jednej osoby, która wciąż go kochała. A-yeong, jego córki. Rozpaczliwie tęsknił za uśmiechniętą jeszcze do niedawna buzią, nie za wyrazem bliskim pogardy, który krył się teraz w oczach dziewczyny, gdy na niego patrzyła. Wyjął telefon, by znaleźć folder z jej zdjęciami z dzieciństwa. Tym, co pojawiło się jednak na ekranie, gdy jego palec przypadkiem wyłądował na ikonie niewłaściwej aplikacji, był wykres giełdowy z lecącym na łeb niebieskim wskaźnikiem.

Di-ri-ring. Rozległ się ostry, beztroski dźwięk telefonu. Dzwoniła Ran-hui, jego żona. Seong-gon wahał się przez moment, by w końcu nadusić zieloną słuchawkę. Zrobił to z nadzieją, że rozmowa okaże się dla niego ostatnią deską ratunku. W głębi serca łudził się, że być może kobieta chce go przeprosić, zaproponować, by dali sobie kolejną szansę, błagać, by wrócił, albo zapewnić, że jakoś przez to przejdą. Słowa docierające do jego uszu okazały się jednak salwą wyzwisk.

Wiązanka zaczynała się od „do cholery”, a zdania wypływające niczym seria pocisków z karabinu maszynowego przeprowadziły zmasowany atak na jego bębienki. Kolejne strzały dawały mu do zrozumienia, że A-yeong do wieczora błąkała się samotnie po dworze, czekając na niego. Niech to szlag. Nawet po rozstaniu zapominał o swoich obowiązkach jako ojca, mimo że przychodziło mu odgrywać tę rolę zaledwie dwa razy w miesiącu. Ran-hui spytała, czy zdążył już wyrzucić z pamięci

identyczną sytuację sprzed kilku lat, kiedy chodząca do piątej klasy A-yeong wsiadła samotnie do metra i kręciła się po mieście przez jakąś godzinę, by ostatecznie wybrać się na posterunek policji. Oskarżyła go o to, że zawodzi córkę. Miał coś na swoją obronę, gdyby żona oczekiwała wyjaśnień. Tego dnia jego wola życia zupełnie się ulotniła, właśnie dziś postanowił umrzeć. Zresztą czy nie znajdował się teraz w miejscu, w którym mógł wpaść w objęcia śmierci?

To wszystko i tak nie miało większego znaczenia. Po drugiej stronie słuchawki Ran-hui przeklinała go niczym sam diabeł wywołany z piekielnych czeluści.

– Jesteś niereformowalny. Sam zgotowałeś sobie taki los. To ty doprowadziłeś do tego, że teraz jest, jak jest. Nigdy się nie zmienisz! Żyj tak sobie dalej, do śmierci! Odpieprz się od nas i zdechnij jak śmieć!

W szorstkim głosie Ran-hui wybrzmiewały nie tylko bluzgi skierowane w stronę małżonka, ale i jej własne, niewyobrażalne rozgoryczenie życiem. Nie mogąc już dłużej znieść kolejnych ciosów pełnych nienawiści i głębokiej niechęci, Seong-gon zakończył połączenie i wyłączył zasilanie. Tak zwykł reagować w trakcie rozmów telefonicznych z żoną. Jego serce waliło.

Ran-hui z natury była łagodna. Gdyby mierzyć gniew w skali od jeden do dziesięciu, spokojne usposobienie nawet w najbardziej krytycznych sytuacjach niemal nie pozwalałoby jej przekroczyć poziomu trzeciego. Ale pewnego dnia jej wściekłość skierowana w stronę męża w ułamku sekundy poszybowała z jedyńki na sto. Seong-gon zastanawiał się przez chwilę,

kto był temu winien – on czy ona? Zaraz jednak potrząsnął głową. Teraz to i tak nie miało już żadnego znaczenia.

Wraz z szeleszczącym porywem silnego wiatru w jego uszach dzwoniły wypowiedziane przez żonę przekleństwa. „Nigdy się nie zmienisz! Żyj tak sobie dalej, do śmierci!”

Nie mijała się z prawdą. Był jednym z tych, którzy za nic w świecie nie potrafili się zmienić. A nawet gdyby, przecież i tak zamierzał zaraz umrzeć, właśnie w tym stanie. Koniec końców Ran-hui zawsze miała rację. Mimo to Seong-gon ani razu jej tego nie przyznał. Nie powiedział też, że popełnił błąd, że się mylił. To nie tak, że nie potrafił wyrzucić z siebie tych słów – po prostu nigdy tego nie zrobił. Nawet kiedy wiedział, że nie ma racji, zamiast przyznać się do własnych pomyłek, próbował dorabiać do nich logikę i walczył. Wołał wznieść wokół siebie mur, niż porozmawiać. Zamiast przegrać z honorem, silił się na jeszcze gorsze bluzgi i uszczypliwości. Czy coś by się stało, gdyby czasem ustąpił żonie?

Natłok myśli sprawił, że jego tętno przyspieszyło jak jeszcze nigdy dotąd. Serce postanowiło rozszać się po raz ostatni, wiedząc, że wkrótce stanie. W chwili gdy zaśmiał się gorzko, a łzy wypełniające oczy zaczęły spływać po policzkach, ciałem Seong-gona zawładnęły dreszcze. Przez ten krótki moment – poświęcony wspomnieniom matki, córki oraz Ran-hui – wiatr zdążył stać się przerażająco zimny.

Pomyślał o ludziach ubranych w T-shirty i krótkie spodenki, których widział za dnia. Przyszedł w to miejsce, usłyszawszy wcześniej w prognozie pogody, że temperatura – bardzo nietypowo jak na listopad – przekroczy tej nocy dwadzieścia

stopni. W rzeczywistości wynosiła jednak dwa. Woda musiała być jeszcze zimniejsza. Niech no diabli wezmą Instytut Meteorologii. Seong-gon zadrżał ponownie, tym razem mocniej. Nawet kotłujące się w jego głowie myśli zamarły wskutek przyszywającego wiatru. Czy dwa stopnie to rzeczywiście tak mało? Pamiętał, że bez problemów znosił nawet minus trzysta stopni Celsjusza. Cóż, bardziej niż faktyczna temperatura liczy się w końcu to, jak zimno jest w porównaniu z dniem poprzednim. Temperatura odczuwalna. Kim Seong-gon pomyślał, że w tej chwili było dokładnie tak samo. Niezależnie od tego, co myśleli inni, ważne było, że chce umrzeć, że właśnie taki ma zamiar. Odczuwana przed niego temperatura – zarówno fizyczna, jak i ta w sercu – była niższa niż kiedykolwiek.

Bez większego zastanowienia wsunął dłonie do kieszeni. Miał wrażenie, że nieznaczne uczucie ciepła ulżyło nieco jego zdrętwiałym palcom. Westchnął cicho. Ogarniało go wzmożone pragnienie śmierci, co do tego nie miał wątpliwości. A mimo to coś pchnęło go do podjęcia nad wyraz głupiej decyzji. Kto wie, może było to z góry przesądzone. Kim Seong-gon Andrea postanowił zmienić sposób, w jaki pożegna się z życiem.

Później, dobre dwa lata po wspomnianych wydarzeniach, długo będzie się zastanawiał, czy podjęta wówczas decyzja była błędem, czy kwestią pisanego mu przeznaczenia, i tuż przed skokiem do rzeki skłoni się ku pierwszej z opcji. W końcu gdyby nie ona, mógłby oszczędzić sporo czasu, który i tak poszedł na marne.

W każdym razie tym, co sprowadziło go tamtej nocy z mostu, wcale nie była czyjaś troska ani niesione przez drugiego człowieka pocieszenie, lecz przeraźliwie wręcz zimny wiatr. Niespodziewane ochłodzenie dla wielu osób zakończyło się przeziębieniem, ale przynajmniej Kim Seong-gon Andrea odnalazł w nim tarczę, która ocaliła mu życie.

2

Poprawił płaszcz i ruszył przed siebie. Kroki niespiesznie przegnały chłód trzymający jego ciało w garści. Gdy tylko oddalił się od rzeki, wiatr stracił na sile, a dokuczliwy ziąb przestał stanowić zagrożenie. Z jakiegoś powodu wzbraśniał się jednak przed powrotem. Tej nocy nie było mu pisane stać się kochankiem wód. Wiedział, że muszą być potwornie zimne.

Wciąż dywagując na temat śmierci, pogrążony w rozpacz Kim Seong-gon Andrea stawiał ociężale kolejne kroki. Gdy droga zakręcała, odbijał w bok razem z nią, a gdy trzeba było przejść na drugą stronę, przecinał pasy. Po jakiejś godzinie wędrówki znalazł się w podziemiach prowadzących na przystanek czwartej linii metra pod seulskim dworcem.

Wszedłszy na stację, minął domki z kartonu, w których sypiali bezdomni. Grupa koczowników prowadziła akurat w kącie dyskusję. Lustrowały go kolejne pary podkrążonych, przeszkłonych i zamglonych oczu. Seong-gon zostawił w tyle

zieloną butelkę *soju*^{*}, będącego dla mężczyzn odpowiednikiem wody święconej, i wspiał się w kierunku właściwego dworca – tego, z którego odjeżdżały pociągi linii KTX^{**}. Poczuł uderzenie chłodu, nieco innego niż wcześniej. Zimno odczuwane na zewnątrz było wręcz paraliżujące, a na stacji metra łagodził je wilgotny żar bijący z ciał przechodniów i bezdomnych, ale chłód ogarniający ten budynek miał zupełnie inny charakter. Późną nocą, gdy każdy z odwiedzających uporał się już ze swoimi sprawami, niepotrzebnie wielki gmach odsłonił swe prawdziwe, puste oblicze. Jałowe, przepełnione samotnością i nieodzwonne powietrze gromadziło się wewnątrz, tworząc chłodną, przytłaczającą atmosferę.

Kim Seong-gon kroczył przed siebie ociężale, by zaraz przystanąć przed umieszczonym na środku dworca telewizorem. Z odbiornika płynęły donośne dźwięki. Czy on zawsze był taki głośny? Choć widok tłumów siedzących naprzeciw ekranu nadającego wiadomości w okresie wyborczym czy w czasie świąt nie był mu obcy, coś tu nie pasowało. Telewizor zamontowany na seulskim dworcu stanowił narzędzie pokazujące to, co obecnie przykuwało uwagę mas, interesowało społeczeństwo. W jego wyobrażeniu był cichym tłem, nieustannie zagłuszanym gwarem tłumów oraz nadawanymi komunikatami. Teraz jednak dźwięk wydobywający się z ekranu był znacznie głośniejszy, niż wymagała tego sytuacja, a obecność odbiornika

* Napój alkoholowy, tradycyjnie robiony z ryżu, pszenicy bądź żyta. Zawartość alkoholu wynosi z reguły 14–20%, trunk ten jest powszechnie dostępny i stosunkowo tani.

** Korea Train Express – południowokoreańska linia kolei dużych prędkości oferująca przewozy pasażerskie pomiędzy największymi miastami w kraju.

zdawała mu się bardziej rzeczywista niż jego własna. Przyciągany jakąś niewytłumaczalną mocą, Seong-gon zajął miejsce na jednym z siedzeń ciągnących się w długim rzędzie. Gdy tylko zgiał przemarznięte do szpiku ciało, miał wrażenie, że tu i ówdzie w jego stawach dało się słyszeć trzask. Kilka rzędów przed sobą dostrzegł po przekątnej siedzącego samotnie bezdomnego. W dłoni dzierzył butelkę *soju*. Bezmyślnie wpatrywał się w wyświetlacz, co jakiś czas unosząc szkło i pociągając łyk alkoholu.

Wraz z ujęciami rakiet, statków kosmicznych i różnych ciał niebieskich na ekranie pojawił się panel z zupełnie nieprzemawiającym do Seong-gona tekstem: „A co ty zamierzasz robić w erze podboju kosmosu?”. Zaraz potem ujrzał na ekranie prezesa zagranicznej spółki, którego często pokazywano w wiadomościach. Glenn Gould, amerykański przedsiębiorca szwedzkiego pochodzenia, był założycielem NoNetu. Zbieżność nazwisk ze światowej sławy pianistą sprawiła, że działalność młodego geniusza znalazła się na językach. Nazwa firmy odnosiła się do zespołu złożonego z dziewięciu instrumentalistów – w tym wypadku ośmiu planet Układu Słonecznego oraz samego Goulda – który miał rozgrywać najbardziej imponujące koncerty w całym wszechświecie. Idealnie współgrała ona z wieloma irracjonalnymi poczynaniami, na które porywał się biznesmen, a które innym nawet się nie śniły. Mimo to odniósł sukces na wszystkich płaszczyznach, stając się ostatecznie kimś, kto jednym żartem potrafi sprawić, że wartość akcji notowanych na giełdach Wall Street szybuje lub spada na łeb na szyję.

W telewizji emitowano akurat dokument o jego życiu. Mężczyzna zuchwale podjął ryzyko, by spotkać się z porażką. Następnie odniósł sukces, po którym przyszedł kolejny zawód, zaraz następny i jeszcze jeden. W końcu przełamał złą passę, by wkrótce znów się potknąć, a potem wstać z kolan i raz za razem triumfować. Pasma zwycięstw pozwoliło mu zdobyć miano legendy, obecnie niestrudzenie kontynuującej podboje. Wydarzenia z życia Glenna Goulda, które doprowadziły go tam, gdzie się teraz znajdował, zostały przedstawione niczym fabuła serialu.

Patrząc wstecz z pozycji kogoś, kto osiągnął niemożliwy do zaprzepaszczenia sukces, przedsiębiorca postrzegał swoje wcześniejsze porażki jako niezbędne i uzasadnione, a ci, którzy umniejszali jego starania i je wyśmiewali, tym samym odcinając się od ewentualnych osiągnięć mężczyzny, byli w oczach Goulda równie żałośni i głupi co fanatycy religijni podważający prawdziwość teorii ewolucji. Glenn Gould był bowiem ryzykantem i nowatorem, który ostatecznie zdobył wszystko to, co inni uznawali za nieosiągalne.

Ktoś z widowni w jednym z goszczących go talk-show zapytał Glenna o sekret jego sukcesu. Ten odpowiedział, złożywшы dłonie w charakterystyczny dla niego sposób. Podłożony głos dubbingującego go aktora sprawił, że całość wydała się tajemnicza, niczym stary zagraniczny film.

– Większość ludzi wierzy, że sukces to połączenie ciężkiej pracy i szczęścia. Ja myślę jednak inaczej. W kółko słyszymy, że przyszło nam żyć w dobie zmian. Ale my wcale się nie zmieniamy. Nic a nic! Cały czas błędzimy, szukając tego, co moglibyśmy ulepszyć, a koniec końców nic z tego nie wychodzi.

Stoimy w miejscu. Czy w ostatnim czasie w twoim życiu wydarzyło się coś, co z pełnym przekonaniem nazwałbyś prawdziwie przełomową zmianą? Nawet jeśli, to zakładam, że nie było tego wiele. – Gould odbił piłeczkę, zadając widzowi pytanie. Gdy ten zaczął się drapać po głowie, gość dumnie kontynuował: – Nie bierz tego do siebie. Pewne zmiany to naturalna kolej rzeczy. Weźmy na przykład liczbę zmarszczek, które wraz z wiekiem pogłębiają się na twoim czole. I nie zrozum mnie źle, nie piję tu konkretnie do ciebie. To samo tyczy się w końcu nas wszystkich.

Glenn Gould potrafił wzbudzać zainteresowanie. Wypowiedane przez niego zdania były oklepane i mało odkrywczе, ale sposób, w jaki je przekazywał, rozbudzał w zwykłych ludziach złudną nadzieję. Sprawiał, że zaczynali się czuć jak głupcy, którzy stoją w miejscu wyłącznie dlatego, że nie podejmują szczerego wysiłku. Bezczelna niefrasobliwość i słowa kładące nacisk na rezultat, na które mógł sobie pozwolić jedynie ktoś, kto osiągnął sukces. Niesienie innym pocieszenia przypominającego słodką landrynkę – dzięki niemu mogli dalej marzyć, choć dobrze wiedzieli, że ich sny nigdy się nie spełnią. Na twarzy Kim Seong-gona pojawił się drwiący uśmieszek.

Był oczywiście czas, kiedy i on łykał takie teksty. Namietnie zaczytywał się w książkach o samorozwoju i publikacjach analizujących panujące w społeczeństwie trendy, a kiedy trafiał w sieci na jakieś motywujące filmiki, wchodził w nie bez wyjątku i klikał subskrypcję. Wynajdował suplementy diety oraz kroplówki, które miały mu zapewnić stały dopływ energii. Te, chociaż tylko doraźnie, naprawdę dodawały sił. Większość

z tych rzeczy oferowała działania na tyle podobne, że równie dobrze można było wykuć na pamięć jeden wzór, na którego podstawie operowały. Słowa będące ucieleśnieniem obsesji na punkcie marzeń, hasła każące człowiekowi postępować tak, jakby wszystkie jego sny zdążyły się już urzeczywistnić. Zdarzały się chwile, kiedy miał wrażenie, że dzięki własnej determinacji zdołał osiągnąć upragnione cele. Za każdym razem efekt był jednak dokładnie taki sam.

– Kolejny zakichany oszust... – wymamrotał pod nosem.

W tym samym momencie z ekranu przemówił Glenn Gould:

– Zapewne niektórzy, podobnie zresztą jak ty teraz, pomyślał, że jestem kolejnym spośród tych wszystkich zakichanych oszustów.

Gdy skończył mówić, wlepił wzrok prosto w kamerę, jakby wpatrywał się w Seong-gona. Na ramionach mężczyzny pojawiła się gęsia skórka. Jakim cudem powiedział to samo, słowo w słowo? Zaraz jednak opanował emocje. Możliwe, że to zwykły zbieg okoliczności. W końcu i tak miał do czynienia jedynie z nałożonym głosem wypowiadającym przetłumaczoną kwestię. A mimo to nadstawił uszu, by poznać resztę myśli Glenna Goulda. Był ciekaw, co jeszcze padnie z ust tego ekscentrycznego człowieka. Ku jego zaskoczeniu biznesmen zaczął wyrzucać z siebie to, co leżało Seong-gonowi na sercu, jakby w czasie rzeczywistym czytał mu w myślach.

– Dobrze wiem, co sobie teraz pomyślisz. „Łatwo mówić o zmianach. Tylko od czego miałbym zacząć?” Przykro mi, ale na to nie mogę ci udzielić gotowej odpowiedzi. Musisz sam ją odnaleźć. Nie ma opcji, żebyś zamierzał się teraz porwać na

coś bez większego zastanowienia, prawda? – rzucił uszczypliwie Gould, jakby chciał się z nim droczyć.

Seong-gon przełknął głośno ślinę, czekając na ciąg dalszy.

– Ach, zapomniałbym o najważniejszym. – Mężczyzna odchrząknął, po czym uniósł palec wskazujący i skierował go prosto w obiektyw. – Musisz działać. Naprawdę, nie żartuję. Jak długo?, spytasz. Póki nie uda ci się zmienić. Nie oszukuj się, że świat zrobi to za ciebie. Możesz mi wierzyć na słowo, że sam nigdy nie zdołasz go zbawić. Nie daj się zwieść takim kłamstwom. Powiem ci jedno: jesteś w stanie zmienić wyłącznie siebie. Od stóp do głów, możesz zmienić w sobie wszystko.

Pstryknął palcami niczym szemrany iluzjonista, uśmiechając się przy tym zawadiacko. W tej samej chwili na ekranie pojawiły się zakłócenia, a zaraz potem wcześniejszy program zastąpiły wiadomości informujące o niespodziewanej fali chłodu.

Zastygły w bezruchu Kim Seong-gon wreszcie się opamiętał. Uniósł lekko kącik ust, sycząc przy tym pogardliwie, co przywodziło na myśl dźwięk uciekającego z balonu powietrza. Miał dążyć do zmiany, póki mu się nie uda, tak? Przecież to brzmiało jak zaklinanie deszczu przez Indian. Prychnął, ale zaraz przystanął. Kto wie? Gdyby spotkał tego całego Glenna Goulda, być może jego życie naprawdę by się zmieniło. Gdyby do tego doszło, może zdołałby go nakłonić do zainwestowania w jego interes. A wtedy... Oddał się nic niewnoszącym fantazjom, lecz po chwili zrezygnowany podał te rozważania w wątpliwość. Nawet jeśli faktycznie spotkałby Goulda, czy w obecnym stanie mógłby jakkolwiek zwrócić na siebie jego uwagę?

Siedzący przed nim bezdomny uniósł butelkę z alkoholem. Wprawionym gestem zdawał się wznosić samotny toast – jego grdyka na zmianę unosiła się i opadała, gdy płyn spływał w dół przełyku, by stopniowo rozejść się po ciele. Co tu dużo gadać – cała czynność przychodziła mu nad wyraz naturalnie, niczym zawodowcowi. Nawet w tym jednym, szybkim ruchu dało się dostrzec bijący od niego dziwny spokój, na jaki mógł sobie pozwolić ktoś, kto wiódł takie życie od dawna. Nie wynikał on z przygnębienia i zrezygnowania. Mężczyzna dosłownie emanował opanowaniem, niezmienną stabilnością. Przesiadywanie w tym miejscu każdej nocy, pływając się w blasku płynącego z ekranu światła i unosząc do ust butelkę z *soju*, zdawało się nieodłączną częścią tego nędznego człowieka. Niemającą prawa zniknąć rutyną, niczym znak krzyża na końcu modlitwy.

Kim Seong-gon oddał się rozważaniom, które nigdy wcześniej nawet nie przeszły mu przez myśl. Przypomniał sobie o grupie bezdomnych spotkanej jakiś czas wcześniej w podziemiach, raz jeszcze rzucił okiem w stronę mężczyzny siedzącego po przekątnej. Tacy jak on zawsze i wszędzie żyli z przypiętą zamiast imienia broszką, wytrwale i niezmiennie stanowiąc element ulicznego krajobrazu. Każdy z nich przeszedł inną drogę, ale po utracie dachu nad głową na ogół stawali się do siebie podobni. Czasy i narodowość nie miały tu żadnego znaczenia. Wszystko, co posiadali, przeznaczali na alkohol. A przynajmniej tak było w przypadku bezdomnych, których widział. Nieważne, kto dawał im forszę – w rękach włóczęgów stawała się ona środkiem na

zakup trunków. Podobnie jak pieniądze w posiadaniu hazardystów, które zaraz zmieniały się w stawkę.

Rzucił okiem na czarne od brudu palce siedzącego przed nim mężczyzny. Kiedy po raz ostatni nastąpiła w jego życiu jakaś kluczowa zmiana? Zapewne w dniu, w którym zdecydował się zamieszkać na ulicy. Jeśli jednego mógł być pewien, to tego, że bezdomny na samym początku wcale nie siedział rozczochrany, ściskając brudną dłońią butelkę z alkoholem. Usychał z biegiem czasu; proces, który doprowadził go do obecnego stanu, zachodził stopniowo. Był nieunikniony.

Seong-gon nie zdawał sobie nawet sprawy, że wstrzymał oddech, pogrążony w aroganckich myślach. Wcale nie chciał tych ludzi oceniać ani patrzeć na nich z góry. Po prostu stworzył w głowie symulację, by sprawdzić, czy ta cała „zmiana”, o której mówił Glenn Gould, jest w ogóle możliwa, a siedzący przed nim bezdomny posłużył jedynie za model.

Nieważne, ile by się nad tym zastanawiał, wniosek był oczywisty. Życie, jakie wiedli bezdomni, jawiło mu się zbyt „stabilnie”. Ich codzienność była bez wątpienia ciężka i pozbawiona nadziei, ale właśnie w tym stanie, w tym nieodwracalnym wręcz schemacie kryła się równowaga. Przypominali ogromne zbiorniki z wodą wypełnione po brzegi nieczystościami – brudne i mętne, lecz mimo to trzymające się twardo. Czy ktokolwiek z nich zadałby sobie tyle trudu i przelał zawartość własnego pojemnika do innego, a potem filtrował tak długo, aż wszystkie obce substancje znikną, a woda na nowo będzie przejrzysta, by zmienić obecną sytuację i znów stać się zwyczajnym członkiem społeczeństwa? Może wcale nie byłoby to trudne, ale wymagało

dużych pokładów samoświadomości oraz ogromnego wysiłku, więc gotowych na takie poświęcenie trzeba by ze świecą szukać. No i czy faktycznie wypadało tu mówić o zmianie? Nie. Człowiek nie potrafił się zmienić. Jasne, dla dzieci czy nastolatków, a nawet i młodych dorosłych niedługo po dwudziestych urodzinach istniała jeszcze szansa. Ale ludzie na dobrą sprawę działali niczym stałe funkcje, dające niezmiennie ustalony z góry wynik, niezależnie od wprowadzonych danych. Kim Seong-gon nie był nawet świadomy, że zaczął potrząsać głową.

Głośnie burczenie w brzuchu w jednej chwili sprowadziło go na ziemię, do szarej rzeczywistości. Był wkurzony. Zimno, które uderzyło go, gdy znajdował się o krok od śmierci, wydłużyło jego czas wśród żywych. Czy głód naprawdę był jedynym, co w takiej sytuacji odczuwał? Kiedy nie mając innego wyjścia, oddalił się od wody, przypomniał sobie żebraka z wyciągniętą dłonią, błagającego o coś do jedzenia. To bezwstydne ciało było przekleństwem. Nieustannie kierował myśli na inny tor, ale ono wciąż nie dawało mu spokoju. Pragnął jak najszybciej uwolnić się od tej cholernej fizycznej formy, w kółko domagającej się paliwa, i rozpaść się na atomy.

I właśnie wtedy wpadł na genialny pomysł. Brykiet. Dlaczego wcześniej o nim nie pomyślał? Tak, jedna sztuka powinna wystarczyć. Odejdzie w cieple i spokoju. Nawet nie będzie wiedział, kiedy czad zabierze go we śnie tam, dokąd chce się udać. Chyba.

Wychodząc z dworca, Seong-gon spojrzał na rozświetlony telebim, górujący nad nim niczym wznoszący się nad miastem księżyc.

„Skoryguj posturę i odmień swoje życie”.

Tym wyświechtanym hasłem reklamowano krzesło. Mężczyzna zawahał się, przez krótką chwilę rozważając nawet wyprostowanie pleców. Ostatecznie jednak ruszył przed siebie z obojętnym wyrazem twarzy, nim głos w jego sercu zdążył wyszeptać, że to wszystko i tak mija się z celem.

Sięgnij po więcej!



www.mova.com.pl



facebook.com/wydawnictwo.mova



instagram.com/wydawnictwomova